

I

Nazywam się Mary Katherine Blackwood. Mam osiemnaście lat i mieszkam z siostrą Constance. Często myślę, że przy odrobinie szczęścia mogłam urodzić się wilkołakiem, bo dwa środkowe palce obu moich rąk są tej samej długości, ale muszę zadowolić się tym, czym obdarzyła mnie natura. Nie lubię mycia, psów i hałasu. Lubię moją siostrę Constance, Ryszarda Plantageneta i *Amanita phalloides*, muchomora sromotnikowego. Reszta mojej rodziny nie żyje.

Ostatnio, kiedy przeglądałam książki z biblioteki stojące na kuchennej półce, okazało się, że termin ich zwrotu upłynął prawie pół roku temu, i zastanowiłam się, czy wybrałabym inne, gdybym wiedziała, że to będą ostatnie książki i że już na zawsze zostaną na naszej półce. Rzadko przenosiliśmy rzeczy; rodzina Blackwoodów nigdy nie zdradzała skłonności do wędrówek i przeprowadzek. Stykaliśmy się wprawdzie z drobnymi, nietrwałymi przedmiotami: książkami, kwiatami, łyżkami, ale głębiej tkwiło w nas przywiązanie do trwałych dóbr. Zawsze odkładaliśmy rzeczy na miejsce. Wymiataliśmy kurz spod stołów i krzeseł, łóżek, obrazów, dywanów i lamp, lecz one same zostawały tam, gdzie były; nigdy nie przesunęłyśmy nawet o cal szylkretowego kompletu przyborów na toaletce matki. Blackwoodowie mieszkali w tym domu od zawsze i utrzymywali w nim porządek; kiedy wprowadzała się tu kolejna pani Blackwood, znajdowano miejsce na jej rzeczy – i tak w naszym domu gromadziły się warstwy dobytku Blackwoodów, balast i mur obronny przed światem.

Książki z biblioteki przyniosłam do domu w piątek, pod koniec kwietnia. Piątki i wtorki były dla mnie straszne, bo musiałam chodzić do miasteczka. Ktoś musiał iść do biblioteki i do sklepu; Constance nigdy nie ruszała się poza ogród, a stryj Julian nie mógł. A zatem nie duma ani upór wypędzały mnie dwa razy w tygodniu do miasteczka, lecz po prostu potrzebowaliśmy książek i jedzenia. Być może duma sprawiała, że przed powrotem do domu zachodziłam do Stelli na filiżankę kawy; powiedziałam sobie, że to z dumy, i nie ominęłabym Stelli, choćbym nie wiem jak pragnęła znaleźć się w domu, ale wiedziałam również, że Stella zauważyłaby mnie, gdybym przeszła obok, nie wchodząc, i mogłaby pomyśleć, że się boję, a tego już bym nie zniosła.

– Dzień dobry, Mary Katherine – mawiała zawsze Stella, przecierając ładę wilgotną ściereczką – jak się dzisiaj miewasz?

– Bardzo dobrze, dziękuję.

– A Constance Blackwood dobrze się czuje?

– Bardzo dobrze, dziękuję.

– A on?

– Zupełnie nieźle. Poproszę czarną kawę.

Jeśli ktoś wchodził i siadał przy ladzie, zostawiałam kawę i bez pośpiechu wychodziłam, skinąwszy Stelli głową na pożegnanie.

– Bądź zdrowa – rzucała machinalnie.

W bibliotece starannie wybierałam książki. Mieliśmy, oczywiście, książki w domu,

zapełniały dwie ściany gabinetu ojca, ale ja lubiłam baśnie i powieści historyczne, a Constance te o jedzeniu. Stryj Julian nigdy nie wziął książki do ręki, ale lubił patrzeć na Constance czytając wieczorami, kiedy pracował nad swoimi notatkami, i od czasu do czasu spoglądał na nią, kiwając głową.

- Co czytasz, moja droga? Uroczy widok, dama z książką.
- Czytam coś, co nazywa się *Sztuka gotowania*, stryjkę.
- Zachwycające.

Oczywiście nigdy nie milczyliśmy zbyt długo w obecności stryja Juliana, lecz nie przypominam sobie, aby któraś z nas kiedykolwiek otworzyła choć jedną z pożyczonych książek stojących teraz na kuchennej półce. Wyszłam z biblioteki pewnego pięknego kwietniowego ranka; świeciło słońce i wszędzie wokół spod warstwy brudu dziwnie przebijały fałszywe obietnice wiosennego przepychu. Pamiętam, że stałam na schodach biblioteki, trzymając książki i wpatrując się przez chwilę w delikatną zieleń gałęzi na tle nieba, i jak zawsze żałowałam, że nie mogę wrócić do domu, krocząc po niebie, a nie przez miasteczko. Mogłam od razu przejść na drugą stronę ulicy i iść dalej aż do sklepu kolonialnego, ale to by oznaczało, że muszę minąć dom towarowy i siedzących przed nim mężczyzn. W tym miasteczku mężczyźni pozostawali młodzi, kobiety zaś starzały się pod wpływem szarego, niedobrego znużenia i czekały milcząco, aż mężczyźni wstaną i wrócą do domów. Mogłam iść tą stroną ulicy i przeciąć ją dopiero na wysokości sklepu; wołałam to, choć musiałam przechodzić obok poczty i domu Rochesterów ze stertami przerdzewiałej blachy na podwórzu, popsutymi samochodami, pustymi kanistrami po benzynie, starymi materacami, armaturami i baliami, które rodzina Harlerów przywiozła z sobą i które – w co święcie wierzę – kochała.

Dom Rochesterów był najładniejszym domem w miasteczku i dawniej posiadał bibliotekę z orzechową boazerią, salę balową na piętrze oraz mnóstwo róż wokół werandy. Urodziła się w nim nasza matka i zgodnie z prawem powinien należeć do Constance. Postanowiłam, jak zawsze, że bezpieczniej będzie przejść obok poczty i domu Rochesterów, choć nie lubiłam patrzeć na budynek, w którym urodziła się matka. Rano po tej stronie ulicy było przeważnie pusto, ponieważ padał na nią cień, ja zaś i tak musiałam minąć dom towarowy po wyjściu ze sklepu, a mijanie go w obydwie strony przekraczało moje siły.

Za miasteczkiem, przy Hill Road, River Road i Old Mountain, ludzie tacy jak Clarke'owie i Carringtonowie pobudowali nowe, piękne domy. Musieli przejeżdżać przez miasteczko, aby dostać się do Hill Road i River Road, ponieważ główna ulica była zarazem stanową autostradą, ale dzieci Clarke'ów i Carringtonów chodziły do prywatnych szkół, a jedzenie dostarczano do kuchni przy Hill Road z większych miast. Samochód dowoził pocztę z miasteczka przez River Road aż do Old Mountain, ale mieszkańcy Mountain wysyłali listy z innych miejscowości, a mieszkańcy River Road jeździli do wielkomijskich fryzjerów.

Dziwiło mnie zawsze to, że ludzie z miasteczka, mieszkający w brudnych domkach przy głównej drodze albo przy Creek Road, z uśmiechem kiwali głowami i machali do przejeżdżających Clarke'ów czy Carringtonów. Kiedy Helen Clarke wchodziła do sklepu Elberta, żeby kupić puszkę przecieru pomidorowego lub funt kawy, o których zapomniała kucharka, wszyscy mówili jej „dzień dobry” i stwierdzali, że pogoda się poprawia. Dom Clarke'ów jest nowszy niż dom Blackwoodów, lecz wcale nie jest ładniejszy. Nasz ojciec sprowadził pierwszy fortepian, jaki widziano w miasteczku. Carringtonowie są właścicielami papierni, ale do Blackwoodów należy cała ziemia między autostradą a rzeką. Shepherdowie z Old Mountain dali miasteczku ratusz – biały, o spadzistym dachu, okolony zielonym trawnikiem, z armatą stojącą od frontu. Była kiedyś mowa o wprowadzeniu

podziału na strefy, wyburzeniu chałup przy Creek Road i rozbudowie miasteczka, tak aby pasowało do ratusza, ale nikt nawet palcem nie kiwnął; może myśleli, że Blackwoodowie zaczną wówczas uczęszczać na zebrania rady miejskiej. Mieszkańcy miasteczka załatwiają w ratuszu karty wędkarskie i łowieckie, a raz w roku przyjeżdżają na zebranie Clarke'owie, Carringtonowie i Shepherdowie, którzy uroczyście głosują za usunięciem śmietniska Harlerów z Main Street oraz ławek sprzed domu towarowego i co roku zostają dziarsko przegłosowani przez pozostałych. Za ratuszem odchodzi w lewo Blackwood Road, która prowadzi do domu. Blackwood Road otacza wielkim kołem posiadłość Blackwoodów, a wzdłuż całej drogi ciągnie się ogrodzenie z drutu, postawione przez naszego ojca. Niedaleko za ratuszem stoi duży czarny głaz oznaczający początek ścieżki przeciętej bramą, którą otwieram i zamykam za sobą, a później przechodzę przez lasek i jestem w domu.

Ludzie z miasteczka zawsze nas nienawidzili.